

**TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LWOWA i KRESÓW  
POŁUDNIOWO- WSCHODNICH ODDZIAŁ JELENIÓGÓRSKI  
58-500 JELENIA GÓRA UL. BOHATERÓW GETTA 2**

Praca na konkurs: **OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA**

**Grabowicz Maciej**

Pasiecznik 53

tel: 782 334 964

**Uczeń kl. I B**

III Liceum Ogólnokształcącego

im. Jędrzeja Śniadeckiego w Jeleniej Górze

Al. Jana Pawła II 25

opiekun: mgr Urszula Kozłowska

**ZESPÓŁ SZKÓŁ  
OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH I TECHNICZNYCH  
Aleja Jana Pawła II nr 25  
58-506 JELENIA GÓRA  
tel: (075) 75228-81, (075) 75228-82, (075) 75260-94**

Jelenia Góra 2015-03-31

Do konkursu „Ocalić od zapomnienia” przystąpiłem za namową pani od historii, gdyż niezapisane opowieści zanikną wraz ze śmiercią osób, które je przeżyły. Wysłuchałem wspomnień rodzinnych i jak się później okazało, dzięki tej pracy zdobyłem dużo więcej, niż tylko wiedzę o tamtych czasach.

Historia rodziny Laszczyńskich sięga połowy XVIII w. Opisał ją mój wujek **Stanisław Laszczyński** w zbiorze wspomnień z serii: "**Sami swoi z Boryczówki**" cz. XIV, w opowiadaniu: „**Wymieszane ziarno,**”<sup>1</sup> (załącznik 1). Otrzymałem zgodę na wykorzystanie relacji.

Zebrałem także wspomnienia babci Bronisławy i innych krewnych, ponieważ jak napisał wujek:(...), „istnieje konieczność zbierania okruców pamięci”<sup>2</sup>

Mój prapradziadek **Maciej Laszczyński** urodził się w 1877r.

Mieszkał w wiosce **Łoszniów** w powiecie **Trembowla** w dawnym województwie tarnopolskim, w zaborze austriackim, dlatego walczył w wojsku zaborcy. Na załączonym zdjęciu (załącznik 2) po prawej stronie widać Macieja Laszczyńskiego w mundurze austriackim.

W 1905 ożenił się z **Katarzyną Misiewicz**. Do wybuchu I wojny światowej w 1914 roku, wspólnie prowadzili gospodarstwo rolne. Mieli troje dzieci: syna **Antoniego** oraz dwie córki (Obie zmarły będąc jeszcze dziećmi). Maciej Laszczyński zginął na wojnie w roku 1917r. Miał zaledwie 40 lat. Praprababcia Katarzyna sama wychowywała ośmioletniego Antoniego, z którym przy pomocy sąsiadów dalej prowadziła gospodarstwo.

Mój pradziadek **Antoni Laszczyński**<sup>3</sup> jeszcze na Kresach ożenił się z **Marią Misiewicz**. Mieli czworo dzieci: Leona, Stanisława, Bronisławę i Józefa. Leon oraz Józef zachorowali i wczesnie zmarli. Żona Antoniego nie doczekała końca wojny i zmarła w 1943(załącznik nr3) Moja babcia

---

<sup>1</sup> Praca zespołowa, "Sami swoi" z Boryczówki cz. XIV Wydana przez TMZT Oddział Boryczówka, Lubin 2014, s.47-63

<sup>2</sup> Tamże, s.47

<sup>3</sup> Wykonana przeze mnie genealogia rodziny Laszczyńskich

Bronisława(córka Antoniego), mimo że była wtedy 6-letnią dziewczynką, pamięta, że matka po śmierci miała otwarte oczy i zamknięto je monetami. Pogrzeb matki był bardzo bolesnym przeżyciem. Zapamiętała nawet, że trumnę na cmentarz wieziono wozem konnym. Bronisława rok później rozpoczęła naukę w Łoszniowie. Lekcje były prowadzone w kościele .Uczniów podzielono na grupy, według posiadanych umiejętności.

Wieś **Łosznów** (położoną w dolinie rzeki **Gniezny**, na północ od **Trembowli**) i jej mieszkańców dokładnie opisał mój wujek Stanisław Laszczyński<sup>4</sup>

Poruszające wspomnienia dotyczą lat II wojny światowej. Stanisław o wybuchu wojny dowiedział się z lokalnego radia (był to komunikat o ataku na Westerplatte). Sąsiedzi też zastanawiali się, jak będzie wyglądała okupacja nazistowska. Mieszkańcy wsi chowali bydło, zboże i dobytek najpierw przed nazistami, następnie przed enkawudzistami. Jednak pod koniec września nie wkroczyli Niemcy, tylko Rosjanie i zaczęli zakładać kołchozy. Mieszkańcy wsi pod groźbą kary musieli obowiązkowo chodzić na wielogodzinne zebrania organizowane przez komunistów. Musieli się też bronić przed ukraińskimi bandami banderowców. Na zmianę pełnili wtedy wartę, żeby przeżyć i uratować dom przed spaleniem.

Stanisław zaczął naukę w roku 1940. Pamięta lekcje matematyki, właściwie rachunków, jak uczyli się języka ukraińskiego i rosyjskiego, a za okupacji niemieckiej języka polskiego. Najpierw nauka była obowiązkowa, ale za Niemców ten obowiązek zawieszono.

---

<sup>4</sup> **Stanisław Laszczyński.Wymieszane ziarno** w: Praca zespołowa, "Sami swoi" z Boryczówki cz. XIV Wydana przez TMZT Oddział Boryczówka, Lubin 2014, s.48-55

Po wojnie w roku 1945 w kwietniu i maju władze rozpoczęły wydawanie kart ewakuacyjnych. Z Podola musieli się udać na dworzec kolejowy w Trembowli. Rozkładali namioty, prowizoryczne szałaszy ponieważ musieli czekać na podstawienie pociągu nawet kilka dni. Według relacji babci wagony były podzielone na trzy klasy. Do tych najlepszych, stabilnych, nie przeciekających można było się dostać po przekupieniu Rosjan bimbrem. Kto dał więcej, dostawał się do takiego wagonu. Takim jechała moja babcia. Druga „klasa”, to wagon bez zadaszenia. Ludzie kładli swój dobytek, sprzęt rolniczy i paszę dla zwierząt, przykrywano to drabinami. Pozostałe wagony często nawet nie miały bocznych ścian, dlatego robiono prowizoryczne zabezpieczenia, żeby nie wypaść w czasie jazdy. Rozpacz i zdenerwowanie przesiedleńców opisał Stanisław, który miał wtedy 12 lat<sup>5</sup>

**Rodzina Misiewicz** /Katarzyna z synem Antonim oraz pozostałą rodziną/ po wojnie osiedliła się na Dolnym Śląsku w wiosce **Janice**.

Z Trembowli dotarli w połowie sierpnia do Kędzierzyna Koźła, gdzie czekali ponad tydzień pod „gołym niebem na dalsze decyzje w sprawie miejsca przesiedlenia(Pięć rodzin tam zostało). Przesiedleńcy dotarli do Jeleniej Góry i znowu czekali dwa tygodnie. Po tym czasie trafili do Siedlęcina.

12 września 1945 roku po nocy spędzonej w świetlicy wiejskiej w Pasieczniku wszystkich wywieziono do Janic. Mój wujek ciekawie opisuje dokwaterowanie do niemieckiej rodziny Siebeneicher<sup>6</sup>

Bronisława poślubiła Bronisława Grabowicza i mieszkali dalej w tej wsi. Tam urodziła im się córka oraz dwóch synów( Jednym z nich jest mój ojciec- **Edward Grabowicz**),ale gdy zwolniło się miejsce, przeprowadzili się do Pasiecznika, gdzie mieszkają do dziś.

**Stanisław Laszczyński** należy do Towarzystwa Miłośników Ziemi Trembowelskiej od 8 lat . Długo poszukiwał ludzi z wioski Łoszniów, wreszcie

---

<sup>5</sup> Tamże,s.58-61

<sup>6</sup> Tamże, s.61

dołączył do Kresowian z sąsiedniej wioski Boryczówka. Spotykali się często, dopóki parę lat temu nie zmarł jego ostatni znajomy z tamtych lat.

Dzięki tej pracy nawiązałem lepszy kontakt z moją babcią Bronisławą oraz jej bratem Stanisławem - moim wujkiem. Odkąd okazałem zainteresowanie losami rodziny, częściej rozmawiamy o ich życiu i Kresach. Zrozumiałem, za czym tęsknią. Traktują mnie poważniej i zamierzamy przy najbliższej okazji razem pojechać w rodzinne strony do Łoszniowa. Nadchodzące święta będą okazją do wspomnień i rozmów o kuchni, smakach i o zwyczajach mieszkańców dawnej Polski.

Dowiedziałem się też, że od września roku 2001 na antenie TV Wrocław ukazuje się program **Studio Wschód**, realizowany na Kresach Wschodnich, który „Przybliża mieszkańcom Dolnego Śląska miejsca urodzenia ich dziadów i pradziadów, historie krainy, która przez wieki była częścią naszej ojczyzny.

*Za wschodnią granicą pozostały pamiątki naszej przeszłości - wśród nich groby naszych bliskich i naszych bohaterów. Dla młodego pokolenia STUDIO to prawdziwa lekcja historii. Młodzież nie tylko ogląda programy, ale również w nich uczestniczy - bierze udział w wyprawach na Kresy, poznaje miejsca skąd ich ród, pracuje przy porządkowaniu wielkich historycznych nekropolii i małych, wiejskich, zrujnowanych, polskich cmentarzy, na których spoczywają również ich dziadowie i pradziadowie. Studio Wschód pokazuje Kresy, łączy rodziny, które pogubiły się podczas dziejowej zawieruchy, przypomina*

Takim jechała moja babcia. że korzenie kilku milionów obywateli naszego kraju wywodzą się właśnie stamtąd”

Według relacji uczestników Akcji 2013: „(...)na nagrobkach widnieje wiele nazwisk, Najczęściej spotykane to: **Muszyński**, Kobel, Matła, Skorupski, **Laszczyński**, Jastrzębski, Jakubowski, Koryś, Zagórski, Szczepański, Misiewicz, Lejczak<sup>7</sup>.

*Małgorzata Grabowicz*

Załączniki:

1. **Stanisław Laszczyński**, „Wymieszane ziarno,” W zbiorze wspomnień z serii: **"Sami swoi" z Boryczówki** cz. XIV, Praca zespołowa Wydana przez TMZT Oddział Boryczówka, Lubin 2014
2. Zdjęcie Macieja Laszczyńskiego. Po prawej stronie widać pradziadka w mundurze austriackim
3. Wykonana przeze mnie genealogia rodziny Laszczyńskich
4. Sieczkarnia do słomy (Ciągłe sprawna. Teraz złożona, bo brakuje miejsca w piwnicy, ale latem służy do siekania pokrzyw dla drobiu)
5. Cep do młócenia zboża.
6. Mały krzyżyk (ma około 150 lat. Należał do Marii, czyli matki mojej babci).
7. Gromnica (również należała do niej. Wytworzona ręcznie, z naturalnego wosku).
8. Duży krzyż (Ma ciekawą historię. Pod koniec wojny Rosjanie odpoczywali w domu moich pradziadków. Jeden usiadł pod półką. Stał na niej krzyż, który nagle spadł i uderzył go w głowę. Do dziś widać uszczerbek w podstawie.).

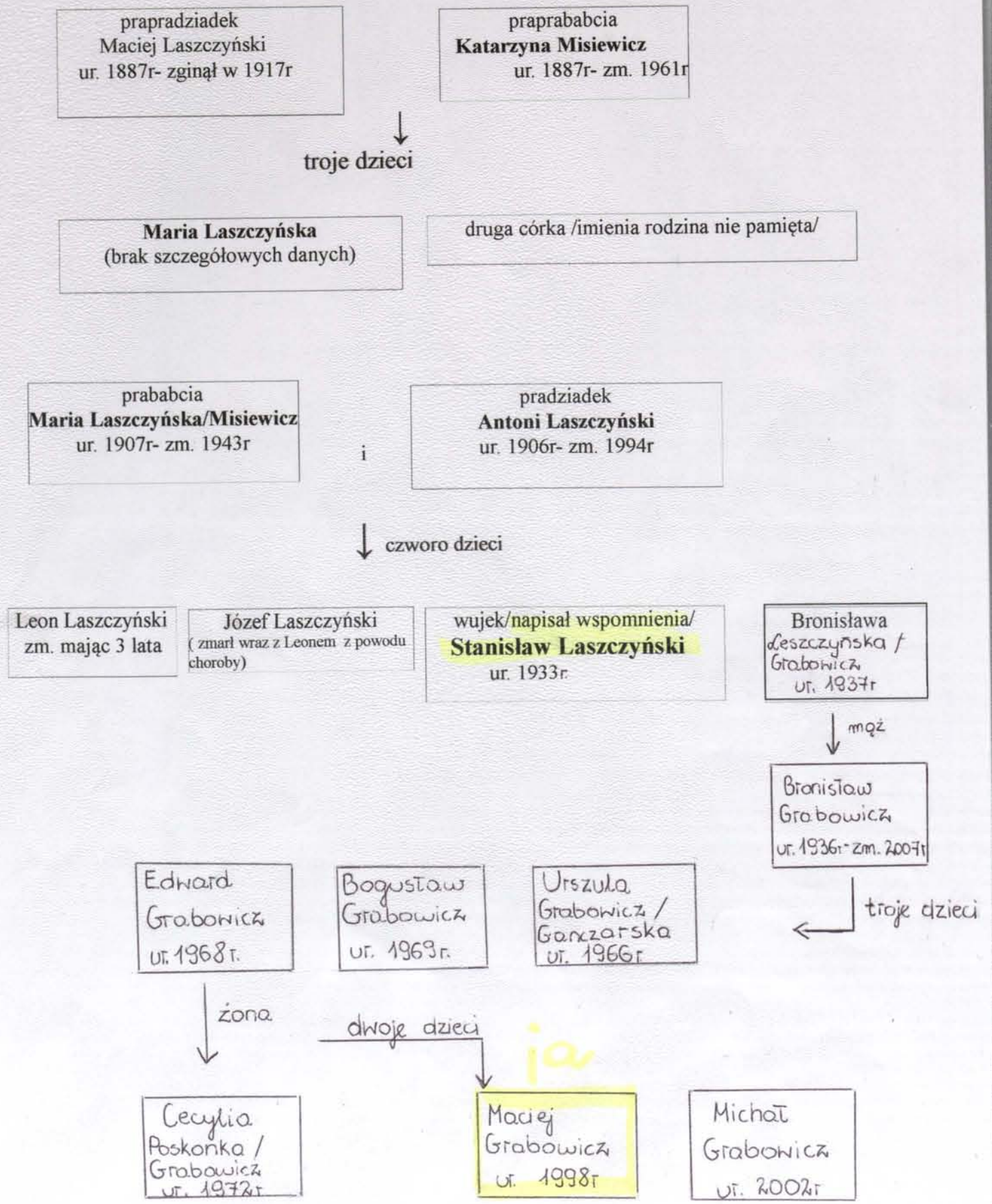
ZAŁĄCZNIK 2. ZDJĘCIE MACIEJA LESZCZYŃSKIEGO

PRADZIADEK



ZAL. 3

GENEALOGIA RODZINY LASZCZYŃSKICH

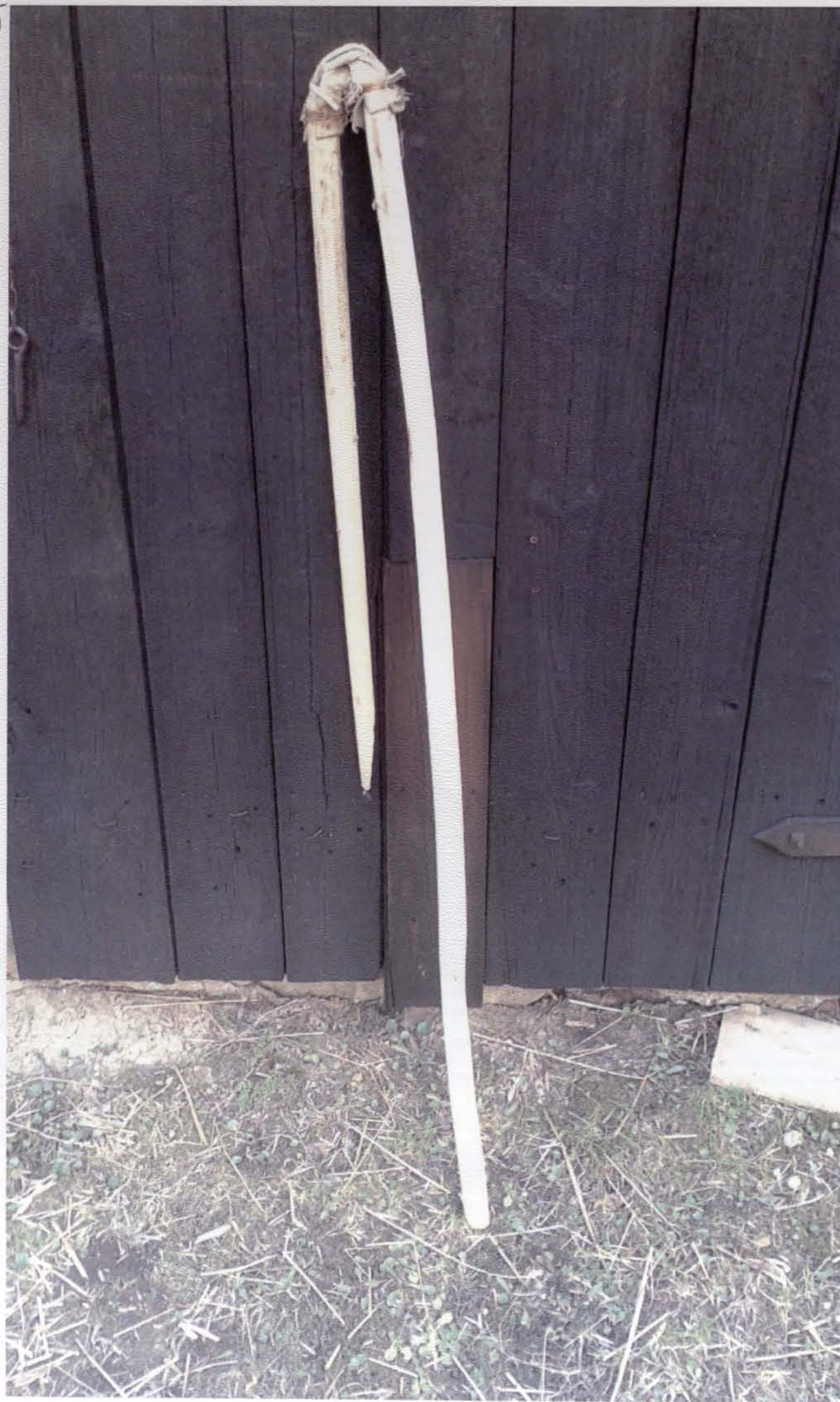


ZAL. 3  
SIECKARZY



ZAL 5

CEP



ZAL

6



GROMNICA WYTWORZONA RĘCZNIE Z NOSKU

ZAT.  
7



DUŻY KRZYŻ

ZAT.  
8



2. 2A7.  
8.



Towarzystwo Miłośników Ziemi Trembowelskiej  
Oddział Boryczówka

Dalsze opowiadania i wspomnienia  
z serii

## „SAMI SWOI” Z BORYCZÓWKI

Część XIV

*St. Laszczyński*

Praca zespołowa:

Zespół redakcyjny:

Józef Mularczyk, Krystyna Fedorowicz,  
Jolanta Brzezicka, Jadwiga Wejksznia, Małgorzata Wilk,  
Anna Mularczyk, Franciszek Kitajczyk

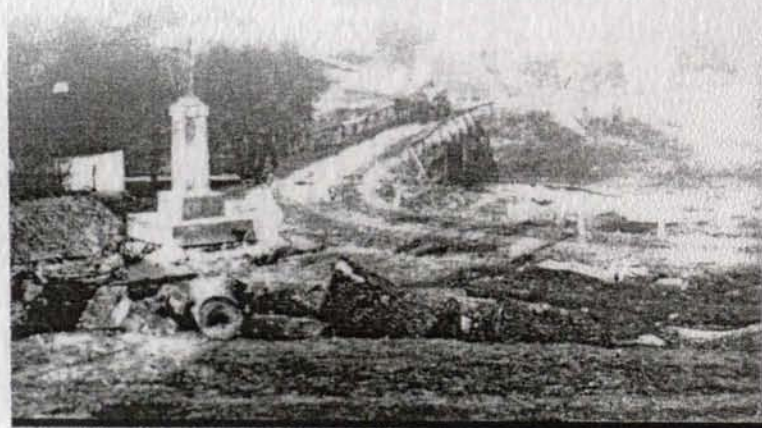
Opracowanie graficzne:  
Władysław Rogowski

Lubin 2014



## SAMI SWOI Z BORYCZÓWKI

Część XIV



Towarzystwo Miłośników Lwowa  
i Kresów Południowo-Wschodnich  
Towarzystwo Miłośników Ziemi Trembowelskiej  
Oddział Boryczówka  
2014

ZALĄCZNIK 1

## Wymieszane ziarno

Nauki historyczne opierają się głównie na dokumentach i artefaktach, rolę pomocniczą pełnią przekazy ustne. Te ostatnie są najbardziej wiarygodne o ile pochodzą od naocznych świadków. W 1994 roku zmarł senior naszej rodziny, mój tato, Antoni Laszczyński, a trzydzieści trzy lata wcześniej zmarła moja babcia Katarzyna z Misiewiczów Laszczyńska. Niestety nigdy nie spisano ich wspomnień, a przecież większość życia spędzili na Kresach. Kiedy marszałek Piłsudski maszerował na Kijów moja babcia była już 42 letnią wdową, ciągle nie mogącą pogodzić się ze śmiercią dziadka, który poległ na Wielkiej Wojnie. Tato przeżył na Kresach obydwie wojny. Podczas pierwszej stracił ojca, a w trakcie drugiej żonę - moją mamę. Z całą pewnością i babcia i tato byłiby teraz niezastąpionym źródłem wiedzy o tamtych czasach, o powiecie trembowelskim, o Łoszniowie, o kresowych tradycjach i zwyczajach. Teraz, kiedy tamte Kresy powoli pogrążają się w mgle niepamięci, kiedy kolejne pokolenia obcych ludzi, tworząc własny świat, świadomie lub nie, zacierają ślady polskiej obecności, istnieje konieczność zbierania okruszków pamięci.

Mój ojczysty kraj musiałem opuścić jako 12 letnie dziecko. Stąd moje wspomnienia z Łoszniowa, mimo, że dotyczą przede wszystkim ciężkiego czasu wojny, oparte są na dziecięcej perspektywie. Obrazy, zapachy i głosy zapamiętane w dzieciństwie są bardziej intensywne niż kiedykolwiek w życiu. Wtedy znacznie szybciej dorośleliśmy, a w każdym razie mieliśmy znacznie więcej obowiązków niż nasze dzieci i wnuki. Mieliśmy także wgląd w takie sprawy, które zwykle zaprzatają głowę wyłącznie dorosłym.

Historia naszej rodziny w powiecie trembowelskim sięga co najmniej XVIII wieku. W księdze parafialnej parafii Łoszniów, której mikrofilmy znajdują się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, znajduje się zapis o ślubie jaki uczynili

sobie wzajemnie 12 października 1797 roku pan Wawrzyniec Laszczyński (ur. w 1768) i panna Helena Mysiewicz (ur. w 1780). To najwcześniejszy zapis o moich bezpośrednich przodkach. W XVIII wiecznych łoszniowskich księgach ślubów, urodzin i zgonów sporo jest Laszczyńskich. Świadczy to o tym, że już wtedy była to rodzina dość rozgałęziona i zapewne dawno już tu osiadła. Najprawdopodobniej co najmniej kilka pokoleń wstecz przed Wawrzyńcem (a może było ich znacznie więcej?) któryś z naszych przodków postanowił osiedlić się w śródleśnej dolinie nad rzeką Gniezną. Większość noszących to nazwisko Polaków wywodzi swoje korzenie właśnie z Łoszniowa.

## ❖ ŁOSZNIÓW

Łoszniów, położony jest na północ od Trembowli w rozszerzonej dolinie rzeki Gniezny. Płaskodenna dolina otoczona jest niewysokimi wzniesieniami obniżającymi się tylko tam, gdzie przez stosunkowo wąskie bramy, wlotową i wylotową, przeciska się Gniezna. Na zboczach wzniesień, jak skwarki na talerzu z pierogami, rozłożyły się zabudowania gospodarskie. Domostwa Łoszniowa budowano bowiem u stóp wzgórz i częściowo na ich stokach. Wzgórza, z wyjątkiem strony wschodniej, porośnięte są lasami. Przed II Wojną Światową lasy te należały do Lasów Państwowych. Dominowały wśród nich przepiękne dąbrowy, grądy, a miejscami bory sosnowe. Wśród gatunków drzewiastych występowały dąb, grab, lipa i buk. Lasy miały bardzo bogate runo z dużą ilością poziomek, malin, grzybów oraz wiosennych kwiatów takich jak śnieżyczki, miodunki, konwalie i zawilce. Dukty leśne, polany oraz nie zalesione miejsca wykorzystywano do wypasu bydła. Lasy te były niezmiernie ważne dla mieszkańców Łoszniowa. Dostarczały drewna budulcowego i opałowego. Podstawę opalania każdego domu stanowiły drewno i słoma.

Wschodnie, bezleśne wzniesienia od strony Ławcza i Boryczówki pokryte były polami uprawnymi. Pola uprawne były także u podnóża Lasu Suszczyńskiego i z boku lasu zachodniego. W środku zaś, rozciągały się rozległe, poprzecinane rowami me-

moracyjnymi łąki. Dawniej na łąkach tych wypasano młode konie – łoszaki i być może stąd pochodzi nazwa wioski – Łoszniów. Łąki nad Gniezną w większości należały do właścicieli folwarku, którymi do 1939r była rodzina hr. Baworowskich. Tylko niewielka część łąk, tzw. „Błonie” należała do gminy. Tam, za opłatą, mogła wypasać swoje bydło ludność wiejska.

Budownictwo domów mieszkalnych i gospodarczych oparte było na drewnie, glinie i słomie. Ściany budynków miały konstrukcję drewnianą. Poziome belki były łączone szczeblami, które przeplatano wałkami uformowanymi z gliny i słomy. Potem ściany te wyrównywano od wewnątrz i od zewnątrz samą gliną. Glinę wydobywano na zboczach wzniesień. Czasami zalegała ona głęboko i w celu jej wydobywania drążono prawdziwe sztolnie, w których zdarzały się nawet zawały ziemi i dochodziło do wypadków śmiertelnych. Dachy konstruowano z płatew i łąt, do których przywiązywano specjalnie robione snopki z równej słomy. Po Pierwszej Wojnie Światowej zamożniejsi gospodarze zaczęli pokrywać swoje domy blachą. Zwykle przy budowie domu pracowało dużo ludzi i raczej nie byli to robotnicy najemni – pomagała rodzina, znajomi i sąsiedzi.

Pierwsze zapisy kronikarskie dotyczące Łoszniowa zachowały się z 1564 roku. Niektóre źródła podają, że miejscowość założono ok. 100 lat wcześniej tj. w 1464 roku. Kiedy w 1617 roku starosta trembowelski Piotr Ossy – Ożga sprowadził do Trembowli o.o. Karmelitów darując im ziemię własną do donacji tej dołączyli się również Mikołaj Osiński i Adam Komorowski, właściciele dóbr ziemskich w Łoszniowie i Boryczówce. Działania te były podyktowane brakiem księży i kościołów rzymsko-katolickich, co skutkowało przewagą wiary prawosławnej. Ludność polska powiatu trembowelskiego z braku świątyń rzymsko-katolickich zmuszona była uczęszczać do cerkwi. Chrzczono w nich dzieci, brano śluby i coraz więcej rdzennie polskich rodzin poczuwało się Rusinami. Należy dodać, że na Podolu nie było to nic nowego, a często bywało też odwrotnie. Zresztą kwestie narodowościowe i religijne nie stanowiły tam (aż do pocz. XX w.) większego problemu. Pamiętam jak ludzie starsi (np. moja babcia) często używali języka ukraińskiego mimo tego, że byli rodowitymi Polakami.

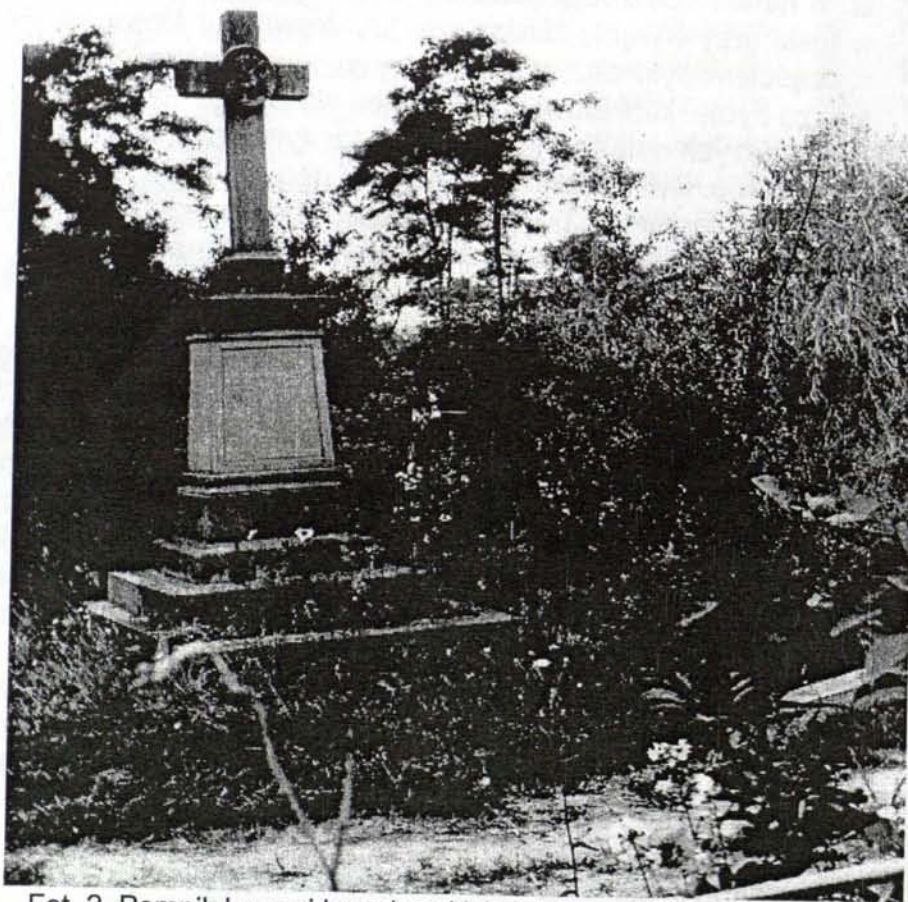


Fot. 1 Kościół pw. Św. Jana Nepomucena w Łoszniowie na Seliskach 1978r.

Dopiero w 1816 roku erygowano w Łoszniowie rzymskokatolicką kaplicę, a wokół niej wybudowano cmentarz na którym zaczęto chować wyłącznie katolików. Ważniejsze nabożeństwa odbywały się jednak jeszcze w cerkwi greko-katolickiej. Duża, bogata i pobożna wieś, jaką był Łoszniów nie mogła jednak obyć się bez swojego kościoła. W roku 1870 na wniosek gminy władze austro-węgierskie zatwierdziły jego projekt i w tym samym roku rozpoczęto budowę. Powstawał wyłącznie ze składek społeczeństwa i dotacji właściciela dóbr w Łoszniowie, hrabiego Wiktora Baworowskiego. Po trzech latach na szczycie wzniesienia, na lewym brzegu Gniezny, od strony Boryczówki, wzbijała się już w niebo iglica wieżyczki kościoła pod wezwaniem św. Jana Nepomucena. Wtedy należał on jeszcze do parafii w Trembowli. Przed frontem kościoła, w skarpie wzgórza, wybudowano kapliczkę św. Antoniego, a nad nią umieszczono napis „Bądź pozdrowiona od morza do morza Królowo Polski zaranna zorza”. W górę, po obydwóch stronach kapliczki prowadzą w kierunku wejścia do kościoła szerokie schody

wykonane z piaskowca. Po prawej stronie wybudowano dzwonnice, a po lewej stronie znajduje się Krzyż Misyjny. Nad schodami przed II Wojną Światową stały dwie figury apostołów Piotra i Pawła. Niestety obydwie zostały zniszczone, a ich części leżą obecnie niszcząc w trawie. Od czasu wyjazdu Polaków z Łoszniowa kościół popadał sukcesywnie w ruinę. Od lat 60-tych XX w. był wykorzystany jako skład nawozów sztucznych przez miejscowy kolchoz. Odzyskany został przez wiernych w 1991 r. Niestety był w stanie zdewastowanym. Odpadnięte tynki, ściany nasiąknięte chemikaliami, sprofanowany ołtarz sprawiały przygnębiające wrażenie. Zachowało się jedynie oryginalne tabernakulum, które ukrył na cmentarzu pozostały na Wschodzie Polak, Marian Lejczak. Dopiero po 45 latach, po przejściu kościoła przez katolików, tabernakulum wróciło na swoje miejsce. Często wspomnianymi przez moją babcię proboszczami Łoszniowa byli ks. Władysław Bożyński (ur. w 1875r., zm. w 1920r) oraz ks. Andrzej Iwanczyszak (ur. w 1866r., zm. 1928r.) Ich groby zachowały się do dziś na łoszniowskim cmentarzu. Ostatnim proboszczem był ks. Władysław Michałkiewicz, który w 1945r. wyjechał z parafianami jednym z kilku transportów do Strzelina. Tam też zmarł i został pochowany na cmentarzu komunalnym. Na cmentarzu w Łoszniowie na szczególną uwagę zasługuje pomnik poświęcony poległym w czasie I Wojny Światowej Łoszniowianom. Wzniesiony został na koszt wdów i dzieci poległych. W wykazie 33 nazwisk na figurze jest nazwisko mojego dziadka Macieja Laszczyńskiego, jego brata Władysława oraz brata mojej babci Macieja Misiewicza.

Łoszniów był dużą polską wsią. Przed wojną liczył około 1000 domostw i ponad 3500 ludności. Jak podaje ks. Wacław Szetelnicki w książce „Trembowla kresowy bastion wiary i polskości” w 1939 roku w Łoszniowie było 2965 wiernych parafii rzymsko-katolickiej, Ukraińców ok. 500 i 55 Żydów. Tak duży organizm wiejski był niemalże samodzielny zarówno w przypadku wspomnianego przeze mnie wcześniej budownictwa jak również w innych dziedzinach życia. We wsi mieszkali rzemieślnicy różnorodnych profesji: tkacze, kowale, stolarze, kołodzieje, szewcy, krawcy, a nawet położna zwana akuszerką i specjalista od zwichnięć i skręceń stawów rąk i nóg.



Fot. 2 Pomnik ku czci łoszniowskich żołnierzy CK Armii poległych podczas I Wojny Światowej. Cmentarz w Łoszniowie 1978r.

Mieszkańcy Łoszniowa, jako że byli najczęściej posiadaczami małych arealów ziemi, w ilości ok. 0,5 morga lub niewiele więcej, uprawiali rzemiosło traktując je jako dodatkowe źródło utrzymania. Surowce dla rzemiosła uzyskiwano na miejscu: włókna konopi, skóry zwierzęce, drewno, glinę, mąkę, len itp. Całkowity proces przetwórstwa przechodziły konopie. Uprawiane były prawie w każdym gospodarstwie. Otrzymywano z nich włókno, siemię i opał w postaci obdartych z włókna suchych ba-

dyli (czyli tzw. „termici”). Z siemienia konopnego otrzymywano bardzo smaczny olej, który był omastą dla całej rodziny. Olej tłoczono w olejarniach, których we wsi było kilka. Pozostałością procesu tłoczenia były makuchy, które stosowano jako dodatek do paszy dla bydła w okresie zimowym. Do dzisiaj pamiętam smak oleju konopnego utartego z czosnkiem w makutrze jedzonego z bułką pieczoną w piecu chlebowym. Piec chlebowy był w każdym domu i każda gospodyni sama wypiekała chleb przynajmniej raz w tygodniu. Najbliższa piekarnia sprzedająca chleb była w odległej o 10 km Trembowli. Oddzielny proces przetwórstwa przechodziły łodygi konopne. Po omłocie ziaren wiązano je w duże snopy zwane mendlami i wywożono do rzeki, gdzie na płytkiej wodzie przybijano palami do dna. Tam leżały około trzech tygodni, po czym przywożono je do domu i suszono. Po wyschnięciu oddzielano włókna od łodygi przy użyciu tzw. terlicy. Był to drewniany kozioł z dwiema równoległymi deskami, między którymi znajdowała się trzecia, ruchoma część z uchwytem, za pomocą którego łamano łodygi konopi oddzielając włókna. Zdrewniałe resztki usuwano za pomocą grzebienia z gwoździ nabitych na deskę. Wyczesane czyste włókna szły do przędzenia, które było zimowym zajęciem dla kobiet. Każda z nich posiadała tzw. kądziel, składającą się z przęslicy (cienkiej deseczki z pionowym wałkiem), na którą nakładało się owiniętą włóknami krężółkę oraz wrzeciono. Za pomocą wrzeciona skręcano nici, w zależności od przeznaczenia, grubsze lub cieńsze. Z grubych nici tkano worki, płachty lub skręcano na sznurki z których wytwarzano liny, postronki i uprzęż dla koni pociągowych (tzw. szleje – zamiast półszorków skórzanych czy chomontów). Sprzędzone nici z wrzeciona nawijano na ramę zwaną motowidłem i wiązano motki, które oddawano tkaczowi. Ten miał drewniany warsztat i na nim tkał materiały. Z najcieńszych nici tkany był materiał na koszule, kalesony, prześcieradła i obrusy. Utkany materiał był początkowo szary jak włókna, z których powstał, dlatego też latem w dni słoneczne rozwijało się go na łące i polewało wodą. Po tym zabiegu płótno bieleło i nadawało się do użytku. Przędzenie włókien konopnych było zimowym zajęciem kobiet, które przędły w domu, ale rzadko samotnie. Przędzenie stanowiło okazję

do wzajemnych odwiedzin. Wybierano się z kądzielą do rodziny czy znajomych na cały dzień, nawet z dziećmi. Opowiadano sobie wtedy o różnych sprawach rodzinnych, sąsiedzkich. Dzielono się różnymi zasłyszаныmi lub przeczytanymi historiami. Pamiętam takie wyjazdy z mamą do jej brata Michała lub z babcią i jej siostrą Marią do ich najstarszej siostry Hani Lejczakowej. Ze względu na znaczne odległości i duże opady śniegu w takie odwiedziny wybierano się saniami zaprzężonymi w konie. Na takie wizyty woził nas często tato, który czas oczekiwania spędzał z mężczyznami omawiając sprawy gospodarowania. W czasie okupacji niemieckiej radzono jak uniknąć wysokich kontyngentów lub jak zbudować nielegalne żarna do mielenia zboża.

Latem nie było czasu na odwiedziny i spotkania rodzinne. Okazją do spotkań były jedynie nabożeństwa w kościele, po których załatwiano różne sprawy. Wiosna, lato i jesień wypełnione były intensywną pracą w polu i w gospodarstwie. Większość prac wykonywano ręcznie. Pola położone były w dość dużych odległościach od domów. Każdorazowy dojazd do pola wozem 5, a nawet 10 km absorbował czas, stąd w pole wyjeżdżało się wczesnym rankiem, a wracało wieczorem. Zabierano ze sobą suchy prowiant: chleb ze smalcem, mięso wędzone lub jajka gotowane (był to tzw. połudenek). Śniadania i kolacje jadało się w domu przy stole. Często z jednej miski.

Rodziny łoszniowskie były wielopokoleniowe i dość liczne. Średnio można przyjąć, że liczyły one od 4 do 7 dzieci, czasem więcej. W jednym domu mieszkali rodzice, dziadkowie, dzieci, a nawet pradiadkowie. Utrzymanie tak dużych rodzin wymagało dużych nakładów. Biorąc pod uwagę średnią wielkość gospodarstwa wynoszącą ok. 1 morgi (nieco powyżej 1/2 ha) wielu łoszniowian musiało dorabiać w czasie lata u bogatszych gospodarzy mających po kilkadziesiąt morgów pola lub na folwarku przy sezonowych pracach wiosennych, sianokosach za 10 kopkę siana lub w żniwa za 10-ty zżęty snop zboża. Czasami otrzymywano niewielkie wynagrodzenie. Dniówka wynosiła 50 groszy. A oto jak przedstawiały się ceny niektórych artykułów w latach 30 –tych: tuczona gęś ok. 10 kg. – 8-10 zł, kura tuczona – 3,50 zł, kwintal pszenicy – 16 zł, jajko – 2 grosze, 1 pudeł-

ko zapalek – 5 groszy, 1 kg cukru – 1 zł, mórg pola – 100-150 zł, a nawet 150-200zł. W czasie zimy mężczyźni pracowali też w lesie przy wyrębie, za gałęzie lub drewno opałowe. Wielkim szczęściem było otrzymanie pracy stałej na folwarku przy obsłudze bydła, koni lub w gorzelni albo we młynie. Podczas pracy u bogatszych dalekich krewnych Łaszczyńskich poznali się moi dziadkowie. Byli młodzi i rozpoczynali dopiero swoje dorosłe życie. Ich pracodawca pomógł im w zakupie gospodarstwa, które razem z posagami stało się zaczątkiem wspólnej własności.

Jak wspominałem Łoszniów był dużą i zorganizowaną wsią. Miały tu swoją siedzibę Urząd Gminy, Posterunek Policji, Poczta, siedmioklasowa Szkoła Powszechna, do której uczęszczały też starsze dzieci z Boryczówki i Suszczyna. Tuż przed II Wojną Światową rozpoczęto budowę Domu Ludowego. Dyrektorem szkoły przez długie lata był pan Machalski, a nauczycielką pani Winnicka. Pan Bazyli Sztogryn – mój ojciec chrzestny był nauczycielem, który mieszkał na stacji w naszym domu przed wojną i za okupacji rosyjskiej. Z pochodzenia był Ukraińcem i niestety miał nacjonalistyczne poglądy. Za okupacji niemieckiej został wójtem gminy łoszniowskiej, współpracował z banderowcami i dawał się we znaki ludności polskiej. W szkole uczył języka ukraińskiego i matematyki. Inni nauczyciele to Pilik – uczył języka polskiego i geografii, Skóra – uczył przyrody, geografii i śpiewu oraz pan Piotrowicz – uczył klasy młodsze – między innymi mnie.

Przed II Wojną Światową w Łoszniowie miała siedzibę parafia rzymsko-katolicka i parafia greko-katolicka. W 1945 roku po wyjeździe Polaków w ich miejsce przyjechali Ukraińcy i Łemkowie z terenów dzisiejszej Polski. Byli wyznawcami prawosławia i dla swoich potrzeb przebudowali Dom Ludowy na cerkiew prawosławną.

## ❖ NA ZACHÓD

Wiosna zwykle napawa radością i optymizmem. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym była jednak całkiem inna. Po ustąpieniu niemieckiego okupanta ludności Podola ponownie przyszło zmagać się z władzą sowiecką, która tym razem

jeszcze usilniej domagała się kolektywizacji wsi. Mieszkańcom Łoszniowa kazano stawiać się pod Dom Ludowy na trwające wiele godzin zebrania agitacyjne. Enkawudziści w czapkach z niebieskimi otokami chodzili także po domach, nakłaniając do wstępowania do nowoutworzonego kołchozu. Tym, którzy się nie podporządkują grożono wywózką w znanym już z 1940r. kierunku. W kwietniu Rosjanie ogłosili pobór do II Armii Wojska Polskiego wszystkich mężczyzn w wieku od 18 do 60 roku życia. Odzew był duży ponieważ chodziło przecież o nasze wojsko, w efekcie w wielu domach pozostały kobiety, dzieci i starcy, na których barki spadł obowiązek prowadzenia gospodarstw i utrzymania rodzin. Mimo ciężkich warunków życia, pracy ponad siły i trudności z aprowizacją byliśmy dodatkowo nękani napadami Ukraińskiej Powstańczej Armii. Począto, dla ochrony całej społeczności, pełnić nocne warty. W razie napadu niezwłocznie alarmowano śpiącą wieś. Pamiętam kilka takich pełnych trwogi alarmów, kiedy trzeba było kryć się w krzakach, polach kukurydzy lub w pobliskim lesie. Nasza rodzina mieszkała w części Łoszniowa zwanej Zastawiem i największym zagrożeniem były dla nas sąsiednie wsie od strony północno-wschodniej: Suszczyn, Ławcze, Ostalce, w większości zamieszkałe przez ludność ukraińską. Dzięki czujności wart nigdy nie doszło jednak do bezpośredniego ataku na Łoszniów. Banderowcy poprzestali jedynie na działaniach zaczepnych i zwiadowczych. Nigdy nie odważyli się zaatakować dużej, polskiej wsi ze sprawnie zorganizowaną strażą. Nasze Zastawie leżało najbliżej Suszczyna, ale naturalną przeszkodą, która utrudniała atak ukraińskich nacjonalistów była rzeka Gniezna. To na jej linii opierała się Łoszniowska samoobrona. W naszym domu była wartownia – miejsce zbiórki jej członków. Stąd wyruszano na patrole i kontaktowano się z innymi wartowniami.

W 1943r. roku śmierci mojej mamy, miałem 10 lat. Kobiecą opiekę nad domem przejęła moja babcia – staruszka. W związku z powyższym mój tato wystarał się o zwolnienie z wojska, w czym pomógł mu jeden z krewnych. Wyłącznie na tatę spadł obowiązek naszego utrzymania. Poza pracą na roli, w trakcie okupacji, dorabiał ciężką pracą w lesie. Jako najstarszy z ro-

dzeństwa, starałem się mu pomóc. Pamiętam jak jeździłem sam orać pole. Potrafiłem ustawić sobie pług, gorzej było z załadowaniem go na wóz. Szybko nauczyłem się go wciągać wymyślonym przez siebie sposobem – po bocznej desce. Po żniwach, kiedy uprawiałem się w żęciu sierpem do dzisiaj mam wyraźne blizny na palcach. Zimą woziłem obornik na pola, daleko na drugą stronę Łoszniowa zwaną Seliskami i dalej przez Krakowszczyznę, aż za Dziewoczą Górę. Jako dziecko wsłuchiwałem się w legendy, które opowiadano sobie przy darcie pierza, że dawno temu pobili się tam o dziewczynę dwaj młodzieńcy. Obaj zginęli, a z łez dziewczyny wytrysnęło źródło. Pamiętam jak jadąc sam z wozem pełnym obornika z przejęciem szukałem legendarnego ruczaju.

W tym trudnym czasie rodziny trzymały się razem. U nas zamieszkała i pomagała babci kuzynka mojego taty, której mąż przebywał od 1939r. w niemieckiej niewoli. W trakcie niemieckiej, a później sowieckiej okupacji było nam bardzo ciężko. Gospodarstwa były obciążone kontyngentami. Okupanci zakazywali nawet posiadania żaren do mielenia zboża i ci, którzy je posiadali musieli uważać, żeby odgłos ich pracy nie ściągnął na nich żołdackiej zemsty. Doprowadziło to w 1943r. do powszechnego głodu. Na przednówku poznałem smak lebiody, a później musiały wystarczać placki z niedojrzałego zboża. Na szczęście posiadaliśmy dwie krowy (jedna urzędowo należała do nas, druga do kuzynki), które były naszymi żywicielkami.

Przyszła wiosna 1945r. Wiedzieliśmy, że przywódcy zwycięskich mocarstw na konferencji w Jałcie postanowili, że granice Polski zostaną przesunięte daleko na zachód. Niestety uaktywnili się też banderowcy, którzy będąc na straconej pozycji dalej chcieli pławić się w polskiej krwi. Rosjanie, którzy (przynajmniej oficjalnie) również zwalczali banderowców, powołali pod broń wszystkich chłopców w wieku 16-17 lat do tzw. Istriebitielnych Batalionów zwanych przez nas po prostu „stribkami”. Skoszarowano ich w Strusowie, który podówczas był miastem rejonowym. Niestety wobec powyższego liczba obrońców wsi znacząco zmalała. W kwietniu i maju 1945r. Urząd Gminy w Łoszniowie rozpoczął wydawanie kart ewakuacyjnych. Po wielu wiekach nasza rodzina miała opuścić Podole. A przecież dla wielu mo-

ich przodków Łoszniów był całym światem. Czekaliśmy na podróż w nieznane. Wiedzieliśmy przynajmniej, że wyjeżdżamy z Polski do Polski. Na karcie ewakuacyjnej wyszczególniono inwentarz martwy, żywy oraz członków danej rodziny. Na dzień wyjazdu nie wolno było oczekiwać w swoim domu. Ci, którzy mimo wszystkich zagrożeń chcieli zostać musieli podpisać obywatelstwo ZSRR i wstąpić do kolchozu. Przede wszystkim jednak narażali się na życie w cieniu ukraińskich wideł i siekier.

Jako dzieci nie zdawaliśmy sobie sprawy z nieodwracalności tych wydarzeń i na pewno mniej niż dorośli przeżywaliśmy wyjazd. Mi najbardziej szkoda było tego, że zostawiamy groby mojej mamy i dwójki małych braci. Pamiętam jednak rozpacz mojej babci i zdenerwowanie taty. Z dnia na dzień musieli pozostawić za sobą cały swój dotychczasowy byt. W latach dwudziestych babcia będąc wdową wraz ze swoim nieletnim synem, moim tatą, odbudowali spalony po pożarze dom. Wybudowali kryte blachą stajnię, świniańnię, stodołę, oraz szopę na narzędzia rolnicze i warsztat kołodziejski. Ciężką pracą dorobili się niemałego gospodarstwa. Babcia, kobieta głęboko wierząca i niełatwo poddająca się przeciwnościom losu, nie mogła pogodzić się, że musi teraz zostawić dorobek swojego trudnego życia. Dopiero na stacji w Trembowli, kiedy zobaczyła przerażone koczujące tłumy Łoszniowian – sąsiadów i krewnych – przestała płakać. Babcia z ciocią upiekły chleb i ususzyły na drogę suchary. Kiedy niemal cały dobytek został przewieziony na trembowelską stację usiedliśmy z moją siostrą na wozie obok taty i po raz ostatni spojrzeliśmy na nasz Łoszniów. Tato zrobił specjalne skrzynie na drobniejsze rzeczy, a do okrywania większych sprzętów służyły konopne płachty zwane „weretami”. Ja miałem w specjalnej skrzynce cztery pary gołębi, przepięknych garlaczy, rysi polskich i wienerków. Pamiętam kiedy pewnego dnia ktoś niechcący otworzył drzwiczki od skrzynki dwie pary wienerków wzbity się w powietrze i po kilku okrążeniach znikły z pola widzenia. Było mi ich jeszcze bardziej żal, kiedy po kilku dniach, ktoś kto wrócił się jeszcze po jakieś rzeczy do Łoszniowa powiedział mi, że moje wienerki siedzą sobie na dachu naszego domu. One nie chciały się nigdzie wybierać, tylko kto je tam będzie teraz karmił?

Na placu przed dworcem kolejowym gospodarze wybudowali tymczasowe szopy, w których oczekiwaliśmy kilka tygodni na podstawienie pociągu. W tym czasie konie i bydło wypasano na łąkach nad Gniezną, za kościołem karmelitańskim. Z czasem zaczął jednak doskwierać brak paszy i mój tato wybrał się do Krowinki, do znajomego gajowego, Ukraińca, u którego miał nadzieję nakosić trochę trawy. Kiedy zajechał na podwórze zobaczył go wybiegającego z domu i krzyczącego: „Anton, wтікaj. Zabirajsia. Wonyż u mene”. W ten sposób nieznany mi Ukrainiec uratował mojego ojca z rąk banderowskich siepaczy. Niewykluczone, że w wyniku tego poniósł najgorsze konsekwencje. Wraz z wyjazdem na Zachód na wiele lat zerwały się też międzyludzkie kontakty.

Kiedy podstawiono w końcu pociąg okazało się, że w jednym krytym wagonie towarowym musi pomieścić się kilka rodzin. Na szczęście dobytek można było ładować do innych, ale te z kolei były otwarte – bez dachu. Przykrywano je drabinami, na które kładziono paszę dla zwierząt. Na otwartych lorach ładowano sprzęt rolniczy: wozy, pługi, brony. Załadunek trwał do samego wieczora. Był początek lipca. Pamiętam kiedy nareszcie pociąg ruszył był cichy, ciepły wieczór i ktoś zaintonował pieśń: „Pod Twą obronę ojczyzna na niebie...” Po chwili śpiewał ją już, ze łzami w oczach, cały nasz transport. Tak od wieków Łoszniowianie w najgorszych momentach swojego życia pokładali nadzieję w Bogu, a teraz prosili go o opiekę w tej wędrówce w nieznane.

Byliśmy w jednym z kilku transportów, które wyruszyły latem 1945r. ze stacji Trembowli i wiozły Łoszniowian na zachód. Odwieczna wiejska wspólnota, o której w Słowniku Królestwa Polskiego i innych Krajów Słowiańskich z 1880r. można było przeczytać, że: „*mają najlepsze w całej okolicy inwentarze, a pracowici, trzeźwi i oszczędni przyszli do znacznych majątków, tak w ziemi jak w kapitałach.*” została podzielona na kolejowe transporty przez sowieckich komisarzy. Jeden z tych transportów dotarł w zachodniopomorskie w okolice Chojny, Kilka (najwięcej) dojechało w okolice Strzelina na Dolnym Śląsku, inne zatrzymały się na Opolszczyźnie w okolicach Paczkowa. My, dzięki komuś, kto miał dobre rozeznanie w sytuacji na Ziemiach Odzyskanych, mieliśmy trafić w okolice Jeleniej Góry. Ten ktoś wiedział, że pod

Karkonoszami nie było działań wojennych i kraj tamtejszy nie jest zniszczony. Pamiętam, że delegacja z naszego transportu płaciła kolejarzom samogonem, żebyśmy mogli tam dotrzeć.

Świat, który był nam znany czyli najbliższe miejscowości przejechaliśmy w nocy. Kiedy obudziłem się wczesnym rankiem nasz pociąg zatrzymał się, żeby przepuścić jakieś wojskowe eszelony. W dalszej części podróży zdarzało się to bardzo często. Co gorsza musieliśmy przepuszczać także pociągi towarowe, którymi Sowietów wieźli na wschód wyposażenie fabryk, samochody i inne „trofeje wieszaki”. Z drugiej strony częste postoje były korzystne bo można było w tym czasie uzupełnić karmę dla bydła i koni oraz uzupełnić zapasy wody. W tym powolnym tempie ok. połowy sierpnia dojechaliśmy na Górny Śląsk, na stację Kędzierzyn Koźle. Tu, na bocznicy kolejowej, zarządzono wyładunek. Jako dziecko nie wiedziałem jaka była tego przyczyna. Niewykluczone, że gdzieś potrzebne były wagony i repatrianci musieli się po prostu dostosować. Nie był to nasz docelowy przystanek i znów zaczęło się koczowanie pod gołym niebem. Tym razem trwało ponad tydzień. Niektórzy z Łoszniowian nie mający inwentarza zdecydowali się na pozostanie w Kędzierzynie wyszukując wolne domy i rezygnując z dalszej jazdy. W górnośląskim mieście – w kompletnie innych warunkach cywilizacyjnych, kulturowych i narodowościowych zdecydowało się pozostać pięć rodzin. Niektórzy z nich motywowali to tak, że stąd będzie im przecież bliżej wracać do naszego Łoszniowa.

Po ponownym załadunku się do kolejnego pociągu ruszyliśmy dalej na Zachód. Po przyjeździe do Jeleniej Góry znów staliśmy w oczekiwaniu na skierowanie nas do konkretnej miejscowości. Trwało to około dwóch tygodni. W tym czasie kilku chłopców z naszego transportu zostało postrzelonych przez sowieckich żołnierzy. Jeden z nich w wyniku tego zdarzenia stracił rękę. W końcu dowiedzieliśmy się, że mamy jechać do Lwówka Śląskiego – niedawno zwanego jeszcze Loewenberg am Schlesien. Był jednak pewien problem – tunele na trasie kolejowej z Jeleniej Góry do Lwówka były częściowo wysadzone i zaminowane. W związku z powyższym nasz pociąg dojechał tylko do pierwszej stacji za Jelenią Górą, którą był Siedlęcín.

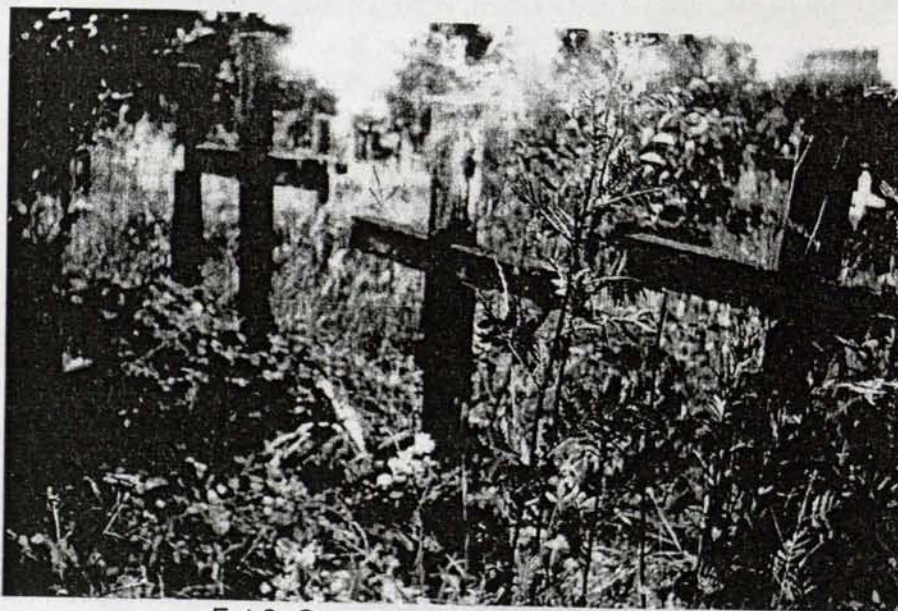
Tutaj podstawiono polski transport wojskowy w postaci wozów konnych i rozpoczęto rozwożenie rodzin do okolicznych wsi – Wojciechowa, Pasiecznika, Maciejowca, Miłęcic, Lubomierza i Janic. Pamiętam ulgę, kiedy pierwszą noc, od początku lipca, mogłem w końcu przespać w jakimś domu pod dachem, a nie w podróży. Był dokładnie 12 września 1945r. Trafiliśmy do Janic, małej podgórskiej miejscowości. W Janicach – dotychczasowym Johnsdorfie – w dalszym ciągu mieszkali jeszcze Niemcy. Przydzielono nas do niewielkiego domu, który należał do rodziny Siebeneicher. Erich i Elza Siebeneicher nie należeli do ludzi majątnych, a utrzymywali się, tak jak nasza rodzina, z pracy na roli. Nie posiadali koni, a jako siłę pociągową wykorzystywali krowy. Poza tym, tak jak większość Niemców w Johnsdorfie posiadali kozy i drób. Gospodarstwo, jak wspominałem, nie było duże, a musieliśmy się jakoś razem pomieścić. My zajęliśmy tylko jeden pokój, a kuchnię używaliśmy wspólnie, chociaż moja babcia do gotowania używała oddzielnego piecyka – stojącej w kuchni „kozy”. Z początku traktowaliśmy się wzajemnie z nieufnością. W przeciwieństwie do nas tutejsi Niemcy nie byli przyzwyczajeni do przyjmowania uchodźców, a dla nas byli oni po prostu zwyciężonymi okupantami. Z biegiem czasu zaczęliśmy się jednak darzyć wzajemnym zrozumieniem i żyliśmy coraz spokojniej. Ja bez problemu nauczyłem się podstaw niemieckiego – od starszych, bo wokół nie było raczej moich rówieśników. Mój tato i pan Erich szybko znaleźli wspólny kontakt. Wieczorami, ciężko spracowanymi na roli rękoma, grywali obydwa w gry pionkowe – halmę, chińczyka i młynek. Wspólnie wyruszali do prac w polu, które teraz, dzięki parze przywiezionych przez nas koni, przebiegały w gospodarstwie Siebeneicherów dużo sprawniej. Zupełnie jak dni naszego życia, przy pierwszych zasiewach ozimin, w siewnikach wspólnie wymieszało się podolskie i dołnośląskie ziarno.

Nasz dobytek długo jeszcze stał nie rozpakowany w stodole. Niewielu z repatriantów było przekonanych, że powrót na Wschód – do domu, nigdy nie będzie już możliwy. Ziemia lwówecka była przeznaczona pod osadnictwo wojskowe i w początkowym okresie czasu pierwszeństwo w zajmowaniu gospodarstw mieli zdemobilizowani żołnierze 10 Sudeckiej Dywizji

Piechoty II Armii WP. Tej samej, która przeszła piekło Operacji Łużyckiej i toczyła później ciężkie walki nad Szprewą. W tym czasie w każdej wsi funkcjonowały polskie Komendantury Wojskowe, które pełniły rolę władzy tymczasowej do czasu pełnego zasiedlenia miejscowości i wyboru sołtysów. Po przybyciu repatriantów zza Bugu zaczęło dochodzić do konfliktów. Ci ze zdemobilizowanych żołnierzy, którzy pochodzili z tzw. Centralnej Polski i nie posiadali rodzin lub nie planowali przesiedlenia się, dążyli często do zajmowania najlepszych gospodarstw i wywozili z nich meble, wyposażenie, sprzęt rolniczy, a nawet inwentarz do swoich rodzinnych stron. Ta napięta sytuacja trwała mniej więcej do czerwca 1946r, kiedy zgodnie z ustaleniami Konferencji Poczdamskiej prawie cała ludność niemiecka została wysiedlona. Do części żołnierzy polskich dojechały żony z dziećmi, kawalerowie poženili się i pozakładali rodziny inni wyjechali w swoje ojczyste strony. W Janicach należało zakasać rękawy i wgryźć się w uprawę kamienistej, podgórskiej ziemi. Niektórzy starsi ludzie, tak jak moja babcia, nigdy nie pogodzili się jednak z przesiedleniem i do końca życia tęsknili za Gniezną i łoszniowskimi pagórkami.

Już w listopadzie 1945r., w sąsiednim Pasieczniku, mieszkający tam nauczyciel zorganizował szkołę. Ja, jako piąto-klasista, zacząłem do niej uczęszczać. Od klasy siódmej naukę trzeba było kontynuować w odległym o ok. 7 km Lubomierzu. Najczęściej docierałem tam rowerem, a zimą mieszkalem u naszych kuzynów, osiedlonych w podlubomierskich Miłęcicach. Po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczałem do Liceum Ogólnokształcącego w Lubomierzu (przy Liceum Pedagogicznym). Dwie kolejne klasy, X i XI, kontynuowałem już w Liceum Ogólnokształcącym we Lwówku Śląskim. Tam musiałem zamieszkać w internacie, który mieścił się na rogu Betleja i Jańkiewicza. Z Miłęcic dojeżdżałem pociągiem, a nierzadko zdarzało się, że dwudziestotrzykilometrową drogę do domu, do Janic, pokonywałem rowerem. Miało to nawet miejsce dość często bo gospodarstwo prowadzone przez mojego tatę i moją młodszą siostrę wymagało pomocy. W 1952r., po ukończeniu liceum podjąłem pracę w księgowości Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Pasiecz-

niku, gdzie z przerwą na odbycie służby wojskowej pracowałem przez 7 lat. W roku 1959r. zaproponowano mi objęcie posady nauczyciela w wiejskiej Szkole Podstawowej w Kwieciszowicach u podnóża Gór Izerskich i w zawodzie tym pracowałem aż do emerytury.



Fot 3. Cmentarz w Łoszniowie 1978r.  
Pośrodku, odnaleziony przed chwilą, grób mojej mamy.

Po raz pierwszy po wojnie Łoszniów odwiedziłem w 1978r. Wraz z moimi synami udałem się na cmentarz, gdzie z przejęciem poszukiwaliśmy grobu mojej mamy. Ale to już zupełnie inna opowieść...